

Relacja przeprowadzona z H. Tadeuszem Langnerem zamieszkałym w Lublinie
przez Dariusza Marciniaka.

9 ARCHIWUM WSCHODNIE

Nazywał się Tadeusz Langner, jestem synem podpułkownika wojskowego-legjonisty. Ojciec mój służył w legionach od sierpnia 1915 roku kiedy to legiony wkroczyły do Lublina. Wtedy się zaciągnął. Przeszedł z legionami cały szlak XIX pierwszej walki, niedostał przysięgę, obóz w Szczepiarnie z którego uciekł. Przebywał wtedy w Lublinie pod przybranym nazwiskiem, brał udział w rozbrajaniu Austriaków, następnie służył w armii polskiej, brał udział w ofensywie z nad Wierza i kampanię wojenną zakończył gdzieś pod Mińskiem. W 1923 roku otrzymał gospodarstwo na Polesiu w osadzie Wysokie. Później ojciec zaczął pracować na poczcie. Już 16 września 1939 roku chodziliśmy pogłaskać, że miała wrócić armia radziecka. Przed domem zauważyliśmy żołnierzy polskich - była to ostatnia cząstka, na wschód już nie było więcej polskiego wojska. Nasza osada znajdowała się w odległości 12 km od granicy. Później nasi żołnierze zaczęli się okopywać (było tego dwa plutony KOP-u). Kiedy ojciec przyjechał z pracy powiedział nam, że jutro będą Sowici. Rano obudziło nas kilka strzałów. Ojciec musiał pojechać na pocztę, ale po drodze Rosjanie wzięli go do niewoli, ponieważ miał zielony mundur i myśleli, że jest on polskim żołnierzem. Dopiero jak ludzie którzy znali ojca powiedzieli im, że jest to mundur pocztowy, ojciec został zwolniony. W tym czasie nasi żołnierze wycofali się na Horn na most i go odpalili. Zabili jakiegoś podpułkownika sowieckiego. Sowici wzięli do niewoli naszych trzech żołnierzy i doprowadzili ich na wschód.

Oprócz armii radzieckiej ustaliła się nowa władza. Składała się ona głównie z Żydów, którzy nagle stali się wielkimi komunistami i Poleszuców. Zaraz po nowym roku 4-stycznia Ojca aresztowano. W tym czasie nastąpił wielki parokoch w ród osadników, którzy zaczęli z tych terenów. W ród nich byli: Kążycki, Wittowski, Bednarski, Tomczak, Kurawski i wielu innych. Po prostu bali się aresztować. Po niedługim czasie, bo 10 lutego przywzali do nas nad ranem o 5 godzinie żołnierze NKWD i powiedzieli, że mamy się zabierać. W rodzinie byli: babcia Kuklewska, mama, 15-letnia siostra Halinka, ja trzynasto letni, brat Leszek 10 lat, i brat Janusz 2,5 lata. Muszę dodać, że moja mama była

w ciąży z 5-tym dzieckiem. Nasza rodzina była w tej dobrej sytuacji. że
żołnierz NKWD widząc, że nie ma mężczyzny wśród nas pozwolił wziąć nam wszystko
co tylko chcieliśmy. Mieliśmy zabitego całego świniaka /którego matka
miała dostarczać dla aresztowanego ojca/. Oprócz tego wzięliśmy żywność,
odzież, kołdry. NKWD-ista powiedział nam, że będzie to wyjazd do drugiego
wępowództwa. Zawieźli nas na stację Mikaszewice, stały na niej załadowane
ludźmi wagony, wśród nich był między innymi ojciec, który później przyjechał
do naszego wagonu. W każdym składzie pociągu było około 50 wagonów, a w wa-
gonie w zależności od jego wielkości znajdowało się od 40- do 60 osób.
W każdym wagonie znajdował się piecyk oraz dziura okrągława o wymiarach
10 na 10 cm. Podróż trwała o ile pamiętam 2-3 tygodnie. Po drodze raz
dziennie dostawialiśmy zapę z łupin i wodę, każdy gotował jeszcze ze swoich
zapasów które zabrał z domu. Było bardzo zimno, w piecyku paliliśmy, na
stacjach kobiety i dzieci wychodziły aby ubierać tracząc opak. W Niżku
do naszych wagonów podeszła jakaś kobieta -rosjanka i prosiła o chleb.
W Rosji panowała wielka bieda. Dojechaliśmy na stację do Wołogdy, tam nas
wyładowano. W czasie podróży zdarzały się przypadki śmierci, ale było ich
stosunkowo niewiele, więcej trupów widziałem na stacji Mikaszewice, kiedy
okazywało się, że spora liczba dzieci udużka się pod sierakami jadąc
do pociągu, panował wtedy przeczucie mroz. W Wołogdzie nie kończyła się
nasza podróż, załadowano nas na kibitkę i wysłano w długą i może jeszcze
gorzej niż dotychczas podróż. Jechaliśmy ok. 300 km w kierunku na Kotlas
i Warkutę. Podróż była straszna był mroz taki, że ludzie często zamarzali
ich trupy zostawialiśmy po wioskach gdzie nocowaliśmy. Raz pamiętam
weziono nas przez trzy dni i nocy bez przerwy, zmieniono nam tylko furmanów
i wyruszyliśmy znów w drogę która trwała trzy dni i trzy noce bez przerwy.
Na saniach panowało zimno tak, że często szliśmy obok saní, aby rozgrzać
smarując nogi. Śmierć zebrała wtedy obfite żniwo, tym bardziej, że większość
wywieszonych stanowili kobiety i dzieci/mężczyźni uciekli z miejsc zamie-
szkania w obawie przed aresztowaniem nie spodziewając się, że represje
dotkną całą rodzinę a nie tylko ich.

Z naszej osady wywieźli 118 osób w tym 10 mężczyzn, 21 kobiet, 2 kawalerów i 78 dzieci w wieku od 0-15 lat z tym, że ok 50% stanowili dzieci małe.

/Liste wywiezionych znajduje się na końcu/.

Po drodze na nasze miejsce zastania, w czasie podróży saniami ludność miejscowa była b. życzliwa podawano nam wodę, kartofle. Czasami udawało się otrzymać też mleko dla małych dzieci. Matki przygotowały dla nich posiłek na cały dzień podróży. Butelki z mlekiem trzymały przy ciele, aby jak najdłużej utrzymały ciepło. Było przecież tak zimno, że wszystko zamarzało. W czasie ostatniego naciągu NKWD rozpuściło wśród więźniów pogłoskę, że wiozą wywieźniaczy tak, że na skutek tej pogłoski nie dano nam nawet rozpałić ognia nie mówiąc już o przygotowaniu czegoś ciepłego do jedzenia.

W końcu zawieźli nas na miejsce. Widok nie był zachęcający. Stały tam baraki poukraińskie /w 1932 roku mieszkali tu właściciele Ukraincy-kułakowie/. Od razu po przybyciu zrobiono nam zebranie gdzie oznajmiono nam, że tutaj będzie nasza mogiła i nasze śmierć".

Trzeba tu jeszcze dodać, że transport nasz w całości nie dotarł na to miejsce. Część pojechała w kierunku Tołmy drogą na Kotłas/droga nad rzeką Sucha do południowej Dwiny tam ich rozładowano/. Nas rozładowano przy Korkach gdzie znajdował się główny obóz. Tu znajdowało się Przedsiębiorstwo Wyr. bu Lasów. W obozie/osadzie/ był naczelnik kierujący więźniami, był też felczer. Oprócz naszego obozu, gdzie przebywała nasza rodzina, były dwa podobne "uczastki-lesopunkty" Sosnowa i Jedynastka - tam skierowano część Polaków. W naszym obozie warunki były znacznie lepsze ponieważ mieliśmy piekarnię i kuchnię. W uczestkach było znacznie gorzej. Tam trzeba było dowozić chleb upieczony w naszej piekarni, baraki były w gorszym stanie. Tereny też były gorsze. Lesopunkty położone były w zabagnionym terenie na mozarach. Ponadto myśmy byli tylko 12 km od wsi oni ok. 20. W tym terenie 8 km znaczyło bardzo wiele tym bardziej, że nie wolno było się nam oddalać na odległość większą niż 500 m od baraku. Inaczej byliśmy zatrzymywani. To samo tyczyło się tubylców. Oni nie mogli przychodzić do nas. Pomimo zakazów jednak udało się nam utrzymać kontakt, było to sprawą życia i śmierci. Za nasze rzeczy przy-

wiezione z Polski tj. otrzymywaliśmy żywność, bez której trudno by było przeżyć. Wymienialiśmy nasze poduszki i kołdry na chleb jajka ponieważ miejscowi mieli żywność, a nie mieli artykułów przemysłowych.

Wszyscy zdolni do pracy byli zatrudnieni w Przedsiębiorstwie Wyrąbu Lasów /m.in. porządkowano drogi, wycinano i zwierzano drzewo/. Mężdzy czyścili i korowali papierówki przeznaczone na papier. Mężczyźni zarabiali 100-110 rb., kobiety 70 rb., młodzi 25-35 rb. na miesiąc. Chleb wydawano nam na listę, 40kg dla niepracującego, 80-100 kg dla pracujących wyrabiających normę. Ku cię można było też parę porcji zupy /dla naszej rodziny 5/. Najgorzej było dla niezarabiających. Chleb kosztował 1.5 kopiejki, zupa 15. Nie pracujący nie mogli wykupić nawet tego. Nie starczało zarobków nawet dla pracujących. Jeżeli w naszej rodzinie siostra i ojciec tylko pracowali to brakowało nam na chleb. Kobiety żony policjantów i osadników/ bez mężów z 2-3 dziećmi w ogóle nie miały za co żyć. Śmiertelność w obozie wzrastała. Zima była długa i mroźna. Śniegi były duże i leżały od września do maja. Mrozy dochodziły do 54 stopni tak, że wychodząc z baraku trzeba było zakryć usta, bo nie można było oddychać. Nasz obóz nie był otoczony drutem, nie trzeba było go strzec, przed uciezkami zabezpieczały najlepiej same warunki geograficzne i klimatyczne i fakt, że nie było gdzie uciekać. Nasz obóz a raczej osiedle składało się z 6 czy 7 baraków w których jak wspominałem mieszkali kiedyś zesłańcy ukraińscy. Dla naszych potrzeb Polacy dobudowali jeszcze dwa. Oprócz tego dobudowaliśmy ośrodek zdrowia, dom dla kierownictwa przedsiębiorstwa i przedszkole dla ruskich i naszych dzieci. Do najbliższej miejscowości było 16 km a jeżeli ktoś chciał uciec to jego jedyna droga biegła przez wieś. Tam byłby natychmiast zatrzymany. Do najbliższej stacji kolejowej było ok. 3000 km. Tak więc nie było ucieczek. Wracając do baraków w których mieszkaliśmy, zbudowane były z okrągłaków gr. 25cm., które były przekładane mechem. Nasz barak był piętrowy - na piętrze mieściło się 5 pokoi a raczej izb oddzielonych od pozostałych deskami. W każdym pokoiku były przyścielone wymoszczone sianem. Innych mebli nie było gdzie postawić, nawet stoliki nie było tak, że jadło się na kolanie. Do środka

znajdowała się duża kuchnia 4-5 sejerkowa. Na dole znajdowała się sala dla 12 rodzin. W barakach królowały pluszki i prusaki, było ich tak dużo, że nie pozwalały spać. Inne baraki były parterowe. Każda rodzina miała swój kąt, w jakimś baraku znajdowała się izba rodzinna w której przebywało czasem 6-8 rodzin. Ja z początku ze względu na wiek i ponurą sytuację przebywałem w domu, ale wósemną poszedłem do pracy, bo nasi musieli zbudować cegielnię. Wtedy skaleczyłem sikierną kolano tak, że przez dwa miesiące rana mi się goiła. W niedługim czasie przydzielili nam działkę ziemi, którą trzeba było wykarczować. Dali nam po wiadrze kartofli do zasadzenia. Działka miała wymiary 20x20 m, wokół niej wykarczowaliśmy, dalej nie daliśmy rady. Posadziliśmy te kartofle. Wykorzystując obfitość runa leśnego niedobory pożywienia uzupełnialiśmy zbierając grzyby jagody, maliny, borówki. Pozwalało to zapomnieć o głodzie aż do jesieni, część z owoców przygotowywaliśmy na zimę. Suszyliśmy grzyby. Całe szczęście, że nie było problemów z wyjściem do lasu. Jeżeli jednak wyszło się do wioski i doszło to do władz Polacy podlegali karze aresztu, należało to na wadzeniu niebezpiecznika na parę dni do komórki. Za podobne przewinienie rozjanie karani byli jedynie grzywną pieniężną. Ojciec mój wraz z innymi dorosłymi pracował w lesie przy wyrębie przez całą lato i jesień. Ja z ojcem jesienią i zimą robiliśmy surowe kolby do karabinów. Wybieraliśmy brzozę bez saków i wyciosywaliśmy je według danego nam szablonu. Moja siostra latem pracowała tak jak ojciec przy wyrębie lasów. Zimą oczyszczała drogę dla traktorów. Najwięcej roboty było przy spławianiu obrobionego drewna. Obok nas płynęła rzeka Kolbacz, ona wpadała do rzeki Tołoczny. Przez całą zimą zwoziło się obrabiane drewno. Wiosną w maju gdy rzeka wylewała i rzeka stawała się spławniową mobilizowano wszystkich kołcháników i obstawiano nimi rzekę tak, aby mogli usuwać tworzące się często zatory. Była to praca niewdzięczna i niebezpieczna. W grudniu była wypłata. Zebraли nas wtedy i głównie powiedzieli byśmy nie myśleli o powrocie do Polski "bo wasza Polska przepadła". Ojciec mój wtedy nie wytrzymał i stwierdził, że "nie wyjdę z tu. ruszy do Niemców dąstaniecie w stronę". Takie słowa spowodowały jego aresztowanie w lutym. Rozprawa odbyła się w Tołmie, że te słowa otrzymał

wyrok 10 lat ciężkich robót co równało się wyrokowi śmierci. Ojciec poszedł do obozu. Aby przetrwać matka poszła do pracy. Tę zimę szczęśliwie przetrzymaliśmy pomimo głodu, bo nie wystarczyło nam pieniędzy. Musiała nam wystarczyć przydziałowa racja /której często nie mieliśmy za cę wykupić/ 40 dkg chleba i trochę zupy, wychodowane kartofle i zebrane runo leśne uzupełniało naszą pożywienie. O cukierni i mięsie nie było co marzyć przez te 6 lat zestania. Jak już wspominałem mama w chwili deportacji była w ciąży, w czerwcu urodziła dziewczynkę. Nawet udało się załatwić z felczerem, że wywieźli ją do odległego o 25 km szpitala. W tych ciężkich dniach przybyła nam jeszcze jedna osoba do wyżywienia. Dziecko długo nie chodziło i chyba cudem się uratowało przez cały pobyt w Rosji. Nastąpiły ciężkie dni, na wskutek głodu wycieńczenia, ciężkiej pracy zaczęły umierać starsze osoby. Pierwszą była pani Wierzbicka osoba starsza, następnym był pan pdk w stanie spoczynku Grodzkiński. Zmarłych chowało się w lesie. Wykopywało się trochę ziemi i składano się zwłoki w drewnianej skrzyni. Latem podchodziła woda tak, że trumny stawiało się wprost w wodzie. Na początku ludzie chodzili na pogrzeby, stawiali krzyżyki, później się przyzwyczaili, śmierć stała się czymś normalnym, na pogrzeby chodzili tylko najbliższe rodziny. Po kolei umierały całe rodziny. Cementarz zapieknieł się w szybkim tempie, był on nieogrodzony, a krzyże które stawialiśmy ginęły. Na Kofbaszy wymarło ponad 20% Polaków, na lesopunktach 20% pozostało. Ja zachorowałem tak ciężko, że sprowadzony felczer-lekarz - że jestem już spisany na straty i przeznaczony do ziemi, przez jakiś czas nie widziałem, ale mimo wszystko zwyciężyłem chorobę. Na naszym miejscu zesłania obok poleków osadników, policjantów, leśniczych była spora grupa poleszucków wywiezionych razem z nami. Może było ich nawet 50% na naszym punkcie, potem wszyscy oni zaczęli przyznawać się do polskości. Na naszym punkcie nie przebywali obywatele polscy pochodzenia żydowskiego.

Rozem z nami byli rosjanie, byli to wszystkie urzędnicy Lasów, policjant. Stosunek ich do nas był dobry.

O wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej dowiedzieliśmy się w lipcu zupełnie przypadkowo ze znalezionego gazety. Raz nawet widziałem samolot zwiedzony. Pierwszym zwiastunem poprawy naszej sytuacji był powrót ojca z obozu/więzienia. Przed opuszczeniem go został wezwany na rozmowę, gdzie pytano go o jakieś wiadomości. Powiedział, że wybuchnie wojna z Niemcami. Z więzienia odległego o 70 km ojciec wrócił bardzo słaby. W czasie drogi opiekowali się nim inni Polacy. Wypuścili również ojca mojego kolegi - był tak osłabiony, że nie doszedł i zmarł po drodze w wyniku choroby. Ojciec otrzymywał w więzieniu tylko 150 gr chleba i trochę zupy.

Niedługo potem pojawili się u nas władze i wydano nam tymczasowe dokumenty amnestyjne i poinformowano nas, że możemy opuścić miejsce pobytu i skierować się dokąd chcemy oprócz strefy przyfrontowej i większych miast. Było to już we sierpniu czy wrześniu. Część zjechała do formującego się w Kijowie zwoje wojska. Jesienią otrzymaliśmy pomoc UNRY. Dostaliśmy ubranie wojskowe, margarynę, trochę konserw, kaszy. Pomocy pieniężnej nie dostaliśmy, zresztą pieniądze nie miały żadnej wartości, bo nie można było za nie nic kupić. Chleb był na wagę złota. Sytuacja materialna znacznie się poprawiła. Wprowadzono kartki, ale jedynie chleb można było dostać. Porcja chleba była niewielka 40 kg dla niepracujących i 60 kg dla pracujących. Jesienią Polacy zaczęli masowo w opuszczać lasopunkty, przez bagna przez bagna jechali 170 km do stacji.

Dalej kolejną do Kijowa i Taszkentu. Ojciec mój wyjechał, nie mogliśmy wyjechać razem, ponieważ mój brat Janusz ciężko zachorował. Z uczestników Słonowa i Jedynatki wszyscy wyjechali. Zima była dość trudna, może najtrudniejsza, ale Polacy zaczęli chodzić po wioskach i sprzedawać resztki swoich rzeczy. Nas uratowało to, że nasza mama utuliła szyci. Chodziła i szyciła Sybirakom ubrania. Za uszyte futerki dostawała mąkę i inne produkty. Był to dla nas jedyny ratunek. Nasza rodzina w komplecie przetrwała zimą, a brat wyjechował. Na wiosnę wrócił ojciec z Taszkentu. Tam rodziny wywozili do Iranu. Nie chciał i wrócił z trzema znajomymi. Zaczęli ponownie pracować przy wyrzbie, korowaniu i ściąganiu drzewa. Potem poszedł pracować do powstałej fabryki budowy barak. 4 bracia go

sobą brata, by odciążyć rodzinę. Nas wyrzucili z naszego baraku, bo nie pracowaliśmy. Myślaliśmy mieszkać na wiosce Duży Dwór. W listopadzie pokonaliśmy 70 km by dotrzeć do ojca. Pamiętam tę podróż, babcia niosąc na plecach niarzyną opiekowała godzinami na samych kółkach jeździło młodsze rodzeństwo. Szliśmy obok rzeki, ponieważ rzeka stanowiła jedyną drogę tak w lasie jak i w zimie, można powiedzieć dzieć jak rzeka to droga jak droga to wioska. Nocowaliśmy po wsiach. Sybiracy byli bardzo przyjemni i gościnni. Ich domostwa nie posiadały zamków, a nieobecności gospodarzy symbolizowały zastawiane nosidłem na wodę drzwi. Widać nie znali tam wtedy podziemia. Szczęśliwie dotarliśmy do ojca. Tam aby pomóc rodzinie zacząłem pracować w żegludze rzecznej. Zimą, gdy rzeki zamrzły i ustała żegluga pracowałem przy czyszczeniu statków i barak. W styczniu nastąpiło zerwanie stosunków polsko-sowieckich. Dostaliśmy wtedy nowe sowieckie dowody osobiste i zostaliśmy ponownie pozbawieni obywatelstwa polskiego. Ojciec dwa dni siedział w areszcie bo nie chciał podpisać. Trzeba było podpisać i przyjąć dowody sowieckie, odmowa groziła aresztowaniem i przetrzyni konsekwencjami. Nasza sąsiadka nie podpisała, w rezultacie została do obozu, wróciła dopiero po 6 miesiącach, po powrocie przypominała trupę, tylko skóra i kości. Ludzie zaczęli znosić jej żywność by ją trochę odratować. Jej 14-letnią córkę przez okres pobytu matki w więzieniu opiekowały się inne rodziny polskie. Syn jej przebywał akurat w wojsku. Sprawa obywatelstwa była u nas bardzo ostro postawiona.

W maju przyszło dla ojca wezwanie do wojska. W tym czasie pracowałem na statku i nie widziałem jak ojciec odchodził do dywizji Kosciuszki. Ja pracowałem na holowniku jako sternik, a moja siostra jako palacz. Dostawałem tylko 80 kg chleba, praca była ciężka, trzymałem wachtę co 6 godzin. W tym czasie wszyscy wnosili drzewo na barki oprócz kapitana. Człowiek był bardzo zmęczony, chleb dostawaliśmy co trzy dni. Holowaliśmy ładnie i czasem okręty odwodne. Nie mogąc zrobić pracy przeniosłem się na łosiołki ukraińskie i tam pracowałem zastępując w robocie powołanych do wojska młodszych. Siostra także chciała uciec z holownika, ale ja złapano i uwięziono. Jako karę skierowano ją do tej samej pracy. Na łosiołku pracowałem jak

na roli, orałem, siałem zbieraniem, zimną pracowałem w kuźni-ko i kowala zabrałi
na wojnę. Noza tym wozilem słomę lnianą do Seligolice. Taka podróż trwała 3 dni
do pokonania było 140 km. Koń ciągnął dół 300 kg ładunku drogami tak wąskimi,
że nie można było minąć drugiego wozu. Odbyłem takich podróży chyba z 13 -ci
Za pracę otrzymywaliśmy ok 1kg chleba, a zupy gotowaliśmy sami. Było tam
nam dobrze. Wyżywienie stosunkowo dobre, pozostałe osamotnione kobiety
potrzebowały naszej pracy. Nasza rodzina była rozbita, ojciec w wojsku, matka
nadal chodziła po wsiach, utrzymując roduństwo szyciem, dostawaliśmy wtedy
porcję chleba po 250 gr. Podkarmialiśmy się nawzajem. Powstało ZPP. Podobnie
jak brano przymusowo do wojska tak i przymusowo zapisywano do ZPP. Raz
pamiętam otrzymaliśmy pomoc, na osobę 1kg grochu, wydawali ją Rosjanie,
więcej nic. Później jesienią 1943 roku dostaliśmy zawiadomienie, że ojciec
zginął pod Lenino. W wojsku otrzymał stopień chorążego i był dowódcą plutonu
w kompanii przeciwpancerniej, dostał się do niewoli. Był w obozie, ranny
w nogę pod Lenino i przetrzucili go do pracy do Włoch. Uciekł do Rzymu,
przechowywał go jakiś ksiądz. Wstąpił do wojska Polskiego, wrócił jako żołnierz
III Korpusu WP.

w 1944 roku miało przewieźć Polaków na Ukrainę. Załadowano naszą ro-
dzinę na statek i zawieszono do Wołody. Tam podobnie jak w 1940 r. załado-
wano nas w pociągi towarowe. Pomoc wydano chyba tylko jeden raz, chleba, zupa
co drugi dzień. Na postojach wszyscy gotowali sobie jedzenie. Polacy wyglą-
dali strasznie, byli chudzi, zaszczepieni, dołączono do nas wagony z żydami.
Pechaliśmy przez Moskwę, Kursk, Kijów pod Odeskę, do pracy w sowchozach.
Nie chcieli zwolnić naszej siostry, dopiero jak mama poszła do NKWD
to udało się jej wywalczyć zwolnienie siostry tak, że pojedaliśmy razem,
Na Ukrainie to było już całkiem inne życie, pod dostatkiem było zboża
chleba, jarzyn, owoców. Trzeba przyznać, że Polacy byli bardzo obrotni.
Na Ukrainie brakowało ubrań, butów, sam chodziłem boso do pracy, niejacowi,
chodzili ubrani w worki. Ja z bratem jeździłem na traktorze, siostra pracowała
przy cieżkach, a mama pozostała w domu i prowadziła gospodarstwo,
Stosunki pomiędzy Polakami, a Ukraińcami i Rosjanami układały się dobrze.

Polaków ceniono za dobrą pracę. Mieszkaaliśmy w czworakach 3x3 m. Rodziny mieszkały różnie. Tam dostałem wezwanie do wojska - podałem się za Polaka, bo chciano mnie skierować do wojska sowieckiego. Wydali mi zaświadczenie. Czekalem na wezwanie, ale mnie nie zmobilizowano. W naszej miejscowości zorganizowana była polska kółka, gdzie uczyli pisać i czytać po polsku, były jakieś książki i gazety polskie "Nowe Widokrzęgi". ZPP roboty propagandowej raczej nie prowadził. W 1945 roku poszła podłaska, że mamy wracać do Polski. Pojechała wtedy delegacja do Odessy, wśród wybranych była i moja matka. Przynieśli wtedy dokumenty podróży. Wyjechaliśmy akurak 10 II 1946 roku, akurak minęła wtedy 6 lat 12 II przyjechaliśmy do Polski. Nie zbierano wśród nas funduszu repatriacyjnego. Miejscowy sowchoz zorganizował nam transport i potężną zabawę. Babcia w Krakowie odłączyła się od nas i pojechała do Górnego, nas wylądowano w Górze Śląskiej. W czasie podróży nic nam nie dawali, mieliśmy wszystko swoje. We Lwowie dali nam jakiś posiłek i chleb a w Przemyślu i Medyce zabrali ruble i za nie dali głotówki 1rb-42k /52k na czarnym rynku/. W sowchozach zarabialiśmy 20 rb miesięcznie, chleb był za darmo, kupić nic nie było można, bo nie było. Po przyjeździe do Polski było gorzej niż na Ukrainie. W 1945 roku wrócił ojciec do Lublina.